Janina Łagoda

Ubiegłoroczna październikowa parlamentarna elekcja i tegoroczne kwietniowe samorządowe wybory przyniosły oczekiwane przez większość społeczeństwa korzystne rezultaty na rzecz pogłębiania demokratycznych trendów w kraju. Elektorat zdecydował, że ci, którzy przez ostatnich osiem lat ułomnie zarządzali państwową nawą muszą władcze stery przekazać innym, tj. umownie rzecz ujmując dotychczasowej, lecz elekcyjnie zweryfikowanej opozycji. Tak też się stało. A uwzględniając nienotowaną w III RP frekwencję w głosowaniu do parlamentu krajowego (74,38%) i rozkład wskazań na Koalicję Demokratyczną (ok. 11,6 mln) oraz tzw. Zjednoczoną Prawicę (ok. 7,6 mln), zaś w mandatowym przeliczniku oznacza to, że w Sejmie RP zasiadło odpowiednio 248 posłów partii do niedawna opozycyjnych oraz 194 posłów partii dotąd rządzącej, co jest wyrazistym dowodem na utrzymywanie się trendu ku wzmacnianiu społeczeństwa obywatelskiego.
W senackich wyborach owe dysproporcje są dosadniejsze z korzyścią dla partii egalitarnych. Samorządowa elekcja rządzi się nieco odmiennymi regułami, ale kompatybilnymi z parlamentarnymi. I tym razem mogliśmy dostrzec ową przystawność. W tej elementarnej obywatelskiej powinności niepokoi jednak niska frekwencja, która tym razem wyniosła w pierwszej turze 51,94%, a więc była niższa o blisko 24% od parlamentarnego wskaźnika. Frekwencja w drugiej turze była jeszcze gorsza
i wyniosła 44,06% Przyczyn tego stanu rzeczy zapewne wiele, zwłaszcza w indywidualnych tłumaczeniach, ale nie jest sprawą normalną, aby blisko połowa społeczeństwa z elektorskim prawem w zaledwie kilkumiesięcznym odstępie czasu tak wielce zobojętniała wobec spraw najbliższych losom własnego domu, ale kraju również. Wymaga to solidnych dogłębnych badań, a nade wszystko skrupulatnego realizowania wniosków, jakie z nich zapewne wypłyną. Nie można przecież ustawicznie tłumaczyć tego faktu wyłącznie tym, że ok. pięć milionów obywateli z samorządowymi prawami wyborczymi przebywa poza granicami kraju,
z których większość nie ma możliwości uczestniczenia w lokalnych głosowaniach. Nie można też w nieskończoność opędzać się naiwnym frazesem, że mój głos niewiele znaczy, ale warto spojrzeć na sumę tych nonszalanckich, bezsensownych usprawiedliwień, to one jednak korzystne pulsują wyłącznie na korzyść przeciwników politycznych. Takie to oto skutki krótkowzroczności i trywialnych usprawiedliwień. Pora wreszcie położyć temu kres, ale na pewno nie obejdzie się w tym przypadku bez solidnej powszechnej edukacji i to od szkolnej ławy począwszy.
Wyniki wyborów wywołały szok u wielu, również tych dotąd sprawujących władzę. Na taką ewentualność nie byli przygotowani, bo nie zgłębili faktu, że dla skutecznego zarządzania państwem, nawet w autokratycznej formule, należy dysponować należytym przygotowaniem teoretycznym i praktycznym. Nic takiego nie miało miejsca. Była to zwykła amatorszczyzna w rządzeniu państwem, moszczona hasłami o patriotyzmie, mocarstwowości, sceptycyzmie współpracy z sąsiadami, z UE etc., przy jednoczesnym bagatelizowaniu dołującego wewnątrzkrajowego społecznego poparcia i mieniących się upadłością międzynarodowych relacji. Nowogrodzka zignorowała także koncyliacyjne parametry zarządzania państwem, gorzej bo rozpętała burzę straszenia UE, ale zarazem korzystania z faktu bycia w gronie unijnych państw. Przeraźliwe rozdwojenie jaźni, a to w naturalnym biegu losu oznacza perspektywę odsiadki w opozycyjnych ławach. I tak też się stało. Dla prezesa oraz wiernych mu komilitonów

zdumienie ogromne, lecz ekwiwalentne do braku politycznej rozwagi oraz bagatelizowania głosów elektoratu, który częstokroć oznajmiał swoje wątpliwości, również w różnorakich protestacyjnych formułach, których nie sposób było rządzącym nie zauważyć. Bufonada to częsta przypadłość przyszłych bankrutów. Mieć wszystko i z dnia na dzień zubożeć ma zawsze wiele przyczyn, ale to już sprawa dla nowogrodzkich analityków, których zdaje się również opuścił zdrowy rozsądek, a jego miejsce zajęło bezgraniczne lizusostwo wobec szefa, który – jak się okazuje – nie wszystko może w przeciwieństwie do niektórych swoich dworaków.

Obrona prestiżu

Kalendarzowe daty wyborczych klęsk obozu tzw. zjednoczonej prawicy wprawdzie się oddalają, lecz u wielu z nich pozostają w głębokiej pamięci. Prezes prawej i sprawiedliwej formacji oraz jego najbliżsi kamraci wszelkimi sposobami usiłują przekonać siebie i własny elektorat, że to oni są zwycięzcami. I w tym przypadku nie mylą się, bo wedle rachunkowo-statystycznego kryterium taka konstatacja jest prawdziwa. Ta partia uzyskała najwięcej wyborczych głosów, zarówno samorządowych (34,27%) jak i parlamentarnych (35,38%), zdobywając tym samym najwięcej mandatów poselskich i samorządowych, ale nie tyle, aby mogła samodzielnie sprawować rządy, jak to czyniła przez ostatnie dwie kadencje. Mogłoby być jeszcze bardziej zwycięsko dla tej partii, gdyby nie wyzbyła się zdolności koalicyjnych. Okazuje się, że sobkowstwo sprzężone z woluntaryzmem, arogancją, prywatą, nepotyzmem etc. w polityce nie popłaca. To tandetny oręż, wprawdzie efektowny, lecz obskurancki z niskim wskaźnikiem prawdopodobieństwa osiągnięcia politycznych sukcesów. Cóż jednak na to poradzić, kiedy to stał się jedynym narzędziem, jakim prezes potrafi władać. Ogląd jego żałosnych publicznych ekspiacji to potwierdza. Nie opuszcza go też wiara w jakąś cudowną odnowę, umożliwiającą mu ponowne przejęcie władztwa nad krajem. I nie jest to iluzja, bo za nim blisko jedna trzecia elektoratu. Mało prawdopodobne, aby stało się to natychmiast, ale umiejętne wykorzystywanie potknięć rządzących demokratów uzupełnione wsparciem przez wcześniej zaprzyjaźnione i hojnie dotowane pozarządowe formacje mogą ten scenariusz uczynić realnym. Pamiętać też należy i o tym, że w tej pajęczynie interesownego wspierania Nowogrodzkiej prym wiedzie, ku swojemu nieszczęściu, kościół katolicki, a rewanż niebios, bo nic za darmo, z czego doskonale zdają sobie sprawę jego ziemscy funkcjonariusze, bywa zazwyczaj niesmaczny dla przeciwnika. Dlatego też sugestią dla wygranych jest, aby z pietyzmem dbali o wewnętrzną koncyliację własnego obozu i nie ulegali prowokacjom, a już jest ich co niemiara i będzie przybywać. Wzniecanie społecznych konfliktów anarchizujących państwo i dających możliwość pławienia się w tej odrażającej topieli jest bodaj jedynym strategicznym orężem prezesa. Ubogi to arsenał, ale wystarczająco skuteczny dla politycznego osłabiania przeciwnika. A takich przypadków w III RP nie brakowało.
Nie sposób sobie wyobrazić prezesa i jego wspólników, aby po przegranej podali rękę wygranym w honorowym boziewiczowskim stylu, wykazując wolę współpracy w tych wszystkich zwornikach, które dotyczą dobra wspólnego. W zgodzie, a nie w waśniach należy poszukiwać sukcesów państwa. Jest to przecież najważniejszy element definicji patriotyzmu, tak szczodrze emitowanego ustami prawicowców. Żałość ogarnia, bo, jak się okazuje, jest to li tylko pustosłowie. Nawet w tym miejscu doniosłość tego słowa została sprofanowana. Cóż jednak ma począć prezes, jeśli spośród bogactwa narzędzi służących skutecznemu zarządzaniu państwem jakie świat zna, opanował tylko jedno, już wspomniane, tj. mnożenie społecznych konfliktów i poszukiwanie w tych odrażających otmętach wsporników dla realizowania własnych

egoistycznych wizji sterowania społeczeństwem. Symbioza interesów partii i państwa jest chorym zamysłem, o czym prezes powinien wiedzieć i zapewnie nie są mu to obce dziedziny, bo historycznych faktów wiele, a wśród nich nasza niedawna przypadłość zafundowana przez Wielką Trójkę. Dlatego też tak ważna jest jakość polityki wewnętrznej państwa, a zagranicznej w szczególności. W tych obszarach nie najlepiej się wiodło pisowskim dygnitarzom. Amatorszczyzna zawsze jest szpikowana dozą niepowodzenia.
Osiem lat apodyktycznych, amatorskich rządów jest wystarczającym okresem dla zniewolenia instytucji państwa i przenicowania ich roli na usłużne rządzącej partii. Także gminne samorządy zostały poddane zgubnej presji osłabiającej ich możliwości realizowania własnych pomysłów, a to właśnie tam tkwią niepoliczalne zasoby społecznych inicjatyw, które należycie eksploatowane mogą istotnie wzmocnić demokratyczne przeobrażenia kraju. Ale i to ostrze szlachetnego procesu również zostało poważnie stępione. Łatwo coś uszkodzić, a o wiele trudniej naprawić; niekiedy wręcz staje się to niemożliwe.
Wydaje się, że Nowogrodzka jeszcze w pełni nie zgłębiła istoty źródeł wyborczych klęsk i ich konsekwencji. Prezes wyraziście lekceważy przegrane, przynajmniej w publicznych wystąpieniach, usiłując tworzyć wrażenie jakoby były to zaledwie chwilowe zbiegi okoliczności. Natomiast większa część społeczeństwa widzi to inaczej, co potwierdzają dotychczasowe czyny nowych rządzących, którzy w nader trudnych warunkach muszą nie tylko odtwarzać to, co już kiedyś zaczęło przyzwoicie funkcjonować, ale i urzeczywistniać nowe inicjatywy, bo świat nie będzie na nas czekać.
Prezes z Żoliborza ugrzązł w archaicznym postrzeganiu rzeczywistości, co nie przystaje do wymogów dnia dzisiejszego i zaczyna eskalować wątpliwościami, zwłaszcza w umysłach co światlejszych jego apologetów. Ale to nadal nikła prężność w mateczniku Nowogrodzkiej i skutecznie osłabiana buńczucznymi pomrukami innych pełnycch wiary w powrót niedawnego zarządczego porządku. Idea centralnego sterowania instytucjami państwa i społeczeństwem w prawicowym środowisku nie uległa zmianie, mimo utopijności tej formuły.
Godzenie się z przegraną nie mieści się w mózgowych fałdach prezesa, ale i wielu działaczom także. Pozostało więc tylko prężenie muskuł, aby przywrócić dawny układ. Dlatego też zwycięzcom nie wolno bezrozumnie upajać się laurem. Przyjąć go godnie, ale zarazem uszczelniać go demokratycznymi ordynkami, aby nie powtórzył się incydent z 2015 roku, bądź te z wcześniejszych lat.

Osaczanie rządzących

Przegrani, albo nie dali wiary temu faktowi, bądź też usiłują cynicznie go ignorować. Jednak sporo z nich zdaje sobie sprawę z tego, że po ośmiu latach sprawowania władzy, raptem znaleźli się w odmiennej politycznej konstelacji. Wielu z nich dostrzegło osłabienie ciągot społeczeństwa ku partyjnemu autokratyzmowi, jako formuły zarządzania państwem i samorządami. Rozwarła się natomiast brama ku gruntowaniu demokratyzacji życia publicznego. Będzie to trudny proces, bowiem pisowscy władcy tak rozregulowali instytucje państwa ważące na demokratycznym jego rozwoju, że ich naprawa, to niemal syzyfowy proces, tym bardziej że za wielu grzesznymi czynami był i nadal w swej dziwnej nieugiętości wobec pisowskich idei pozostaje na stanowisku prezydent RP. Tak więc wszystkie ustawy, inicjowane przez rządzących, które będą kolidowały z jego, tj. pisowską wizją Polski, trafią do kipieli, bo sternik tego rozgardiaszu ani myśli porzucić prezesowską sterówkę. Publicznie dostrzeżonym dowodem na to była m.in. reakcja prezydenta RP i jego najbliższych współpracowników

obecnych na sali sejmowej (25 kwietnia 2024 roku) podczas wygłaszania expose przez Ministra Spraw Zagranicznych RP o zadaniach polskiej polityki zagranicznej w 2024 roku, zwłaszcza na te akapity, które dotyczyły krytyki pisowskiej polityki zagranicznej, a na galerii korpus dyplomatyczny akredytowany w Warszawie. Późniejsze wypowiedzi prezydenta i prezesa krytykujące treści tego wystąpienia były żenujące. Zatem przywracanie normalności będzie procesem burzliwym, zwłaszcza w tych punktach, które wymagają ustawowej legislatury. Aura, jaką pokonani już roztaczają nad niektórymi czynami i zamysłami rządzących, zaczyna przypominać niefortunne zwarcie błędnego rycerza z urojonym wiatrakiem.
W tej sytuacji należy przypuszczać, że gama utrudnień w przywracaniu normalności dla nowej władzy ze strony nowogrodzkiej będzie ogłuszająca, co już po części ma miejsce. Opozycji nie będzie to sprawiało większych trudności, bowiem ta formuła zdobywania władzy była i nadal pozostaje podstawowym zarządczym instrumentem sprawdzonym w praktyce przez przywódcę tzw. zjednoczonej prawicy, który akurat tym narzędziem nieźle fechtuje. To samo akcesorium, bo innego nie zna, wykorzystuje w polityce zagranicznej, ale tutaj porażka goni bankructwo. Najjaśniejsza zaś cierpi. Z efektów, jakie rządząca do niedawna pisowska ekipa odnosiła w kraju i poza jego granicami, nie sposób wyłowić jakieś znaczące czyny, wzmacniające mocarstwowość Polski, czyniąc ją przyjazną mieszkańcom oraz wzmacniającą szacunek w świecie, a zwłaszcza wśród państw UE. Narzędzia ku temu są znane. Aby tak się stało Rzeczpospolita wymaga wzmocnienia fundamentów, a to robota trudna, zwłaszcza na bagnistym podłożu.

* * *

Zwycięstwo w wyborach jest wprawdzie powodem do dumy i przyjmowania naręczy gratulacji, ale nie może osłabić woli walki o wzmacnianie demokratycznych rządów. Tej cechy zbrakło prawej i sprawiedliwej partii po 2015 roku i teraz przychodzi czas gruntownego remontu naszego wspólnego domu, aby stał się kompatybilny co najmniej z wymogami UE.
Jest jeszcze inne niebezpieczeństwo, a mianowicie takie, że rządząca do niedawna partia nadal utrzymuje poparcie na poziomie około 30%, a jej działacze po przegranej znaleźli, przynajmniej czasowo, bezpieczne posady i na pewno będą je wykorzystywać również dla partyjnych celów, tak w zdobywaniu środków finansowych, jak i rozbudowywaniu struktur organizacyjnych.
Ale bodaj najtrudniejszą przeszkodą w płynnym naprawianiu Rzeczpospolitej będzie Prezydent RP, który stał się usłużnym wykonawcą poleceń prezesa, a wiele spraw nie da się załatwić pozaustawowo. Tego już nowa władza doświadcza.

Janina Łagoda